Państwowy żłobek – syf i patologia???

Chyba wszyscy rodzice w Polsce mają świadomość jak ciężko jest dostać się do państwowego żłobka. Chyba każda mama pragnąca wrócić do pracy po urlopie macierzyńskim wie, co to znaczy martwić się, czy uda się zapewnić dziecku dobrą opiekę na czas jej nieobecności. O żłobkach państwowych krążą różne opinie i ja już swoją po części wyraziłam (link do wpisu o prawdach i mitach nt. żłobków), natomiast dziś chciałabym jasno i wyraźnie powiedzieć:

Nie wyobrażam sobie dla mojego dziecka lepszej opieki niż państwowy żłobek.

Kiedy okazało się, że mój jedynak dostał się do żłobka mimo powszechnie panującej opinii, że jedynacy w żłobkach państwowych nie mają szans, uważałam, że złapałam pana Boga za nogi. Nie stać nas było z mężem na **żłobek prywatny** (kliknięcie

w link przeniesie was do wpisu Ani na temat jej doświadczeń ze żłobkiem prywatnym), który w naszej okolicy kosztował w granicach 1400 – 1700 zł za miesiąc bez względu na frekwencję, ani tym bardziej na nianię, której wynagrodzenie kalkulowaliśmy na minimum 2000 zł. Są to koszty, które nawet, jeżeli małżeństwo zarabia więcej niż średnią krajową, ale ma na przykład do spłaty kredyt za mieszkanie, są po prostu niewyobrażalne.

Oczywiście, że miałam pełno obaw, które starałam się studzić czytając opinie w internecie. Przestraszyłam się trochę, kiedy zobaczyłam sam żłobek, do którego się dostaliśmy, bo wyglądał trochę jak relikt PRL-u (w tej chwili trwa tam już remont). Stary budynek, wykładziny PCV, stylistyka sprzed kilkudziesięciu lat. Ale pierwsze wrażenie szybko zostało przyćmione przez zatrudniony tam personel, przez wszystkie zasady i reguły przedstawione rodzicom na pierwszym spotkaniu oraz przez przypadkowo spotkaną panią z Sanepidu kontrolującą tenże żłobek. Pani powiedziała, że gdyby miała oddać swoje dziecko do żłobka, to właśnie do tego, ze względu na panującą tam czystość i dbałość o jakość jedzenia. W żłobku nie podawano parówek, a dwa razy w tygodniu był wyrabiany własnej produkcji ser, co absolutnie podbiło moje serce.

Jakie było moje dziecko w państwowym żłobku?

Zadbane.

Przez półtora roku, kiedy Ignaś chodził do żłobka, miał swoje lepsze i gorsze okresy adaptacyjne. Wiadomo, jak ciężko jest wyjaśnić półtorarocznemu – dwuletniemu dziecku co się dzieje, dlaczego tu zostaje, dlaczego nie będzie z nim mamy. Jednak moje dziecko zawsze było przez ciocię przytulone, otoczone troską i uwagą. Co było dla mnie ważne, zawsze wychodziło ze żłobka zadowolone i z uśmiechem na ustach, mimo wielu trudnych poranków z płaczem i rozżaleniem. Widziałam po nim, że jest mu tam autentycznie dobrze.

Czyste.

Żłobkowe ciocie cały czas przypominały rodzicom o zostawianiu w szafce dwóch zmian czystych ubrań dla dziecka. Faktycznie, moje dziecko nigdy nie wychodziło ze żłobka brudne. Ignaś nigdy nie wychodził do mnie z napompowaną pieluchą. Nawet kiedy ciocie widziały już, że po niego jesteśmy, prosiły, żeby chwilę zaczekać, bo trwa zmiana pieluszki. Zwracały uwagę na wszelkie zmiany na ciele, problemy skórne i inne sprawy, które nas jako rodziców mogły zaniepokoić.

Zdrowe.

Były choroby, była masa chorób z glutem, kaszlem i antybiotykiem. Pierwsze pół roku chodzenia do żłobka wyglądało u nas tak, jak wszędzie: tydzień w żłobku, dwa – trzy tygodnie w domu. Było ciężko, ale wiedziałam, że to naturalna reakcja na wejście w grupę rówieśników. Jednak poza tego typu chorobami i przeziębieniami moje dziecko nie przyniosło do domu nic. Nie było ani ospy, ani rotawirusa, ani owsików, ani żadnych innych pasożytów. Żłobek wymagał od rodziców dzieci nieobecnych ponad pięć dni zaświadczenia od lekarza o stanie zdrowia dziecka. Nie przyjmował ani dzieci bez zaświadczenia, ani z wyraźnymi objawami choroby.

Najedzone.

Oczywiście, że pierwszym, o co moje dziecko prosiło po wyjściu ze żłobka, było coś do jedzenia. Tak ma do dzisiaj, nawet już w przedszkolu, jako trzyipółlatek. Ale wiem, że moje dziecko posiłki zjadało w żłobku w całości nieprzymuszane do tego. Wiem też, że mu smakowało, a dodatkowo, kiedy była taka potrzeba, miał dostosowaną do siebie dietę bez laktozy i glutenu.

Boli mnie, kiedy niesłusznie oskarża się państwowe żłobki o to, że są siedliskiem zarazy, syfu i patologii. Kiedy przenosząc dziecko do przedszkola płakałam żegnając się ze żłobkowymi ciociami, usłyszałam od nich: **„Pani nie płacze. Wie**

pani, że jemu lepiej niż u nas nigdzie nie będzie.”. I było w tym bardzo wiele prawdy. To właśnie państwowy żłobek zapewnił mojemu dziecku najlepszą opiekę, serce i troskę, jaką mogłam sobie wymarzyć. I nie pozwolę powiedzieć na takie żłobki złego słowa.